

FRANCISZEK BŁAWAT

Wywieziono [mnie] z rodziną jako osadnika polskiego z Kresów Wschodnich 10 lutego 1940 r. Działa się ta tragedia w sobotę rano [o] godz. 5.00. Do naszej wioski przyjechali enkawudziści i dali nam godzinę [na jej] opuszczenie. Odprowadzono nas pod eskortą do stacji kolejowej Chołoj [?] i załadowano do wagonów towarowych. Tego dnia temperatura [dochodziła do] 30 stopni mrozu. Dzieci i starcy umierali z zimna. W wagonie, którym jechałem, pierwszego [?] dnia drogi zmarły moja 65-letnia matka i sześcioro dzieci moich sąsiadów. Jazda trwała cały miesiąc i przywieziono nas do Kotłasa na Sybir. Policzyliśmy z naszego transportu ludzi, którzy poumierali [naszym zdaniem] z głodu i mrozu, ponieważ nie były to dzieci i osoby starsze. Brakowało 49 osób. W Kotłasie wyładowali nas z pociągu towarowego. Matki z dziećmi załadowali na odkryte sanie, a my mężczyźni [musieliśmy udać się] pieszo 700 km z Kotłasa do Wierchniej Tojmy, a stamtąd do Wierchniej Muczny [?] – 70 km od kołchozu w głąb lasu. Umieszczono nas tam w trzech barakach po 450 osób i poczęli nas karmić zupą z rybich głów. Za jedną porcję płaciliśmy 150 kopiejek, a dziennie [dostawaliśmy?] 200 g chleba na osobę. Za naszą ciężką pracę [natomiast], za wyrobienie normy wyznaczonej dla każdego człowieka, płacili nam cztery ruble i jeszcze z tego odciągali na uzbrojenie wojenne – czystego zarobku otrzymywałem dziennie dwa ruble 50 kopiejek i tak nas traktowano, w najgorszy sposób. Ludzie marli z głodu, a rodzinie [zmarłego] zabroniono odprowadzić ciało na cmentarz. Dozwalano grzebać tylko dwie osoby [na rodzinę?]. Po 15 miesiącach zmarło śmiercią głodową 250 osób. [Gdy poszliśmy] do komendanta posiołka z prośbą o polepszenie wikt, odpowiedział nam: „Nie po to my was przywieźliśmy, żebyście długo żyli, tylko żebyście jak najprędzy wyginęli, polskie mordy”.